



śmierć  
czeskiego  
psa

JANUSZ RUDNICKI



- Lidia Amejko *Żywoty świętych osiedlowych*  
Joanna Bator *Piaskowa Góra*  
Dawid Bieńkowski *Nic*  
Dawid Bieńkowski *Biało-czerwony*  
Szymon Bogacz *Koło kwintowe*  
Jacek Dehnel *Lala*  
Jacek Dehnel *Rynek w Smyrnie*  
Jacek Dehnel *Balzakiana*  
Agnieszka Drotkiewicz *Teraz*  
Manuela Gretkowska *My zdies' emigranty*  
Manuela Gretkowska *Kabaret metafizyczny*  
Manuela Gretkowska *Tarot paryski*  
Manuela Gretkowska *Podręcznik do ludzi*  
Manuela Gretkowska *Namiętnik*  
Henryk Grynberg *Drohobycz, Drohobycz*  
Marek Kochan *Plac zabaw*  
Włodzimierz Kowalewski *Excentrycy*  
Wojciech Kuczok *Gnój*  
Wojciech Kuczok *Widmokrąg*  
Wojciech Kuczok *Opowieści przebrane*  
Wojciech Kuczok *Senność*  
Jarosław Maślanek *Haszyszopenki*  
Tomasz Piątek *Pałac Ostrojskich*  
Janusz Rudnicki *Mój Wehrmacht*  
Janusz Rudnicki *Chodźcie, idziemy*  
Sławomir Shuty *Zwał*  
Sławomir Shuty *Cukier w normie z ekstrabonusem*  
Sławomir Shuty *Ruchy*  
Mariusz Sieniewicz *Czwarte niebo*  
Mariusz Sieniewicz *Żydówek nie obsługujemy*  
Mariusz Sieniewicz *Rebelia*  
Marek Soból *Mojry*  
Wojciech Stamm *Czarna Matka*  
Magdalena Tulli *W czerwieni*  
Magdalena Tulli *Sny i kamienie*  
Magdalena Tulli *Tryby*  
Magdalena Tulli *Skaza*

. . . a r c h i p e l a g i . . .

---

Janusz Rudnicki

---

Śmierć czeskiego psa

---

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2009  
Wydanie I  
Warszawa 2009

*tak po prostu: Zenkowi Maślonie*



## TEKSTY PIERWSZE

## Śmierć czeskiego psa

*Parę lat temu Cyganie okupować zaczęli obóz koncentracyjny w Bergen-Belsen. Walcząc w ten sposób o przyznanie im w Niemczech statusu grupy mniejszościowej. O odszkodowania, za wtedy. Walczyć najlepiej tam, gdzie się wtedy ginęło, dlatego Bergen-Belsen. Dlatego również strajk głodowy w Dachau (!). Żaden jednak ważny chuj na protesty ich, choć tak spektakularne, specjalnej uwagi nie zwracał. To powód, dla którego protestowali tak długo, aż się z tym protestem zżyli, dosłownie. Obóz w Bergen-Belsen stał się, na długi czas, póki nie usunęła ich policja, nowym ich domem.*

Dziewiąta rano. Siedzę na łóżku. Głowa zwieszona. Oczy zamknięte. Bo gołębie gruchały, od świtu. Znowu. Jeden gołąb, w zasadzie. Symbol miłości, pokoju i Ducha Świętego. Solista. Jeden gorszy od wielu. Solista irytuje, chór usypia. Więc znowu leżałem na tych swoich plecach, klnąc.

Wstaję, człapię do skrzynki na listy, jedna w niej reklama, „Duży Sklep” ma jubileusz, czterdzieści dziewięć lat na rynku. Idę do „Dużego Sklepu”, może coś kupię. Nic nie kupuję, wychodzę, przechodzę obok różna, kurczaki po cenach jubileuszowych, pół za dwa euro, z bułką. Kupuję, jem, na ławce, słońce i pogoda. Jem rękami, tak lubię.

Przechodzi stary człowiek ze starym psem, pies kuleje i on kuleje, boję się o kurę, ale on ma też kurę i jego pies nie zwraca na mnie uwagi.

Stary człowiek siada na następnej ławce, karmi psa, pies je. Ja też. Telefon mi dzwoni, w kieszeni, nie mogę odebrać, ręce mam tłuste, jem przecież rękami. Jem, a telefon gra, jakaś muzyczka, tak był już ustawiony, za każdym razem chcę ją zmienić na sygnał, ale dzwonią do mnie tak rzadko, że za każdym razem zapominam.

Ławka, słońce, kurczak i ta radośnie zidiociała muzyczka.

Przechodzą dwie kobiety, mówią po polsku, Polki.

Pierwsza: – Popatrz, widzisz, jak taki żebrak ma tu dobrze? Ławka, słońce, kurczak, muzyka, piknik przez całe życie.

Druga: – Skąd wiesz, że to żebrak?

Pierwsza: – Jak skąd, nie widzisz? Chcesz, to się możemy założyć.

Druga: – A jak to sprawdzimy?

Pierwsza: – Pieniądze mu dam.

Druga: – Przestań. Ja myślę, że to Cygan.

Przechodzą, odchodzą, zjadłem, idę do domu. W domu kładę się, śpiący jestem po tym zgruchotanym świecie. Niezbyt udana ta pierwsza połowa dnia. Ale też nie najgorsza. Były gorsze. Ach tam, przedpołudnia albo popołudnia, ile to już dni całych spadło mi ze schodów.

Zobaczę, co przyniesie druga połowa dnia. Jeśli nic, nie będę narzekał, miałem, z drugiej strony, dużo udanych popołudni i wieczorów, człowiek nie powinien wymagać za wiele. Jeśli już jest samotną boją na morzu codzienności, prawda?

Zasypiam, może coś mnie obudzi, jeśli nic, nie będę narzekał, nawet jakbym chciał, bo jak tu narzekać, kiedy się śpi?

Budzi mnie, szczekanie psa, w telefonie. Telefon mnie budzi, a w telefonie szczeka pies. Pies do mnie dzwoni? Za chwilę na pierwszym planie głos mężczyzny. Niewyraźny, miękki. Taki, który chwycić można gołą ręką za dziąsła. Głos starego mężczyzny mówi, pyta, czy to ja przykleiłem na słupie ogłoszenie, że mogę wyprowadzać psa.

Ja mówię, że ja.

On mówi, no to właśnie ja już dzwoniłem do pana dzisiaj w tej sprawie, ale nikt nie odbierał.

Ja mówię, ach, rzeczywiście, ktoś dzwonił, ale jadłem właśnie kurczaka, rękami, bo „Duży Sklep”, koło mnie, ma jubileusz, rozumie pan, nie mogłem odebrać.

On mówi, „Duży Sklep”?! Ja... ja też tam byłem, kurczaka kupiłem dla psa i...

Ja mówię, pana pies kuleje, prawda?

On mówi, kuleje! Ja też. A skąd pan...

Ja mówię, pytam, i karmił go pan kurczakiem na ławce?

On mówi, na ławce! Skąd pan... a, to pan? Pan siedział na ławce obok i jadł?

Ja mówię, ja. I pytam, a to pan wtedy do mnie dzwonił?

On mówi, no ja. I pyta, a ta... ta muzyczka to...

Ja mówię, to mój telefon, zamiast sygnału, zapominam zmienić na sygnał, bo, wie pan, rzadko ktoś dzwoni...

On mówi, prawda, jaki ten świat mały. Pan na ławce, ja na ławce... I pyta, to co, może pan przyjść?

Ja mówię, mogę, pytam, kiedy?

On mówi, dzisiaj, teraz, jeśli pan może.

Ja mówię, mogę. Tylko... gdzie?

On mówi, no tak, to starość, ma pan coś do pisania?

Podaje mi adres, nazwisko i mówi. Że nazwisko przy dzwonku na dole napisał ręką, niewyraźnie, ale ja, wie pan, mówi, tak piszę, jak mówię, a mówię tak, jak mówię, bo nie mam już zębów.

Idę, będę wyprowadzał, czemu nie. Miałem już kiedyś psa, miałem, aż mi zdechł. Bokserka, Asta. Chora była, weterynarz powiedział, że przyjdzie ją uśpić, da truciznę. Leżała nieruchoma w kuchni i patrzyła na mnie. Nigdy nie dawałem jej kurczaka, żeby nie zaszkodziły

jej kości. Wyszedłem, kupiłem pół z rożna, zjadła na leżąco. Przyszedeł weterynarz i podał jej środek nasenny, a ona po nim tę ostatnią wieczereź z wymiotowała, i zdechła. Mieszkałem wtedy w bloku zaraz przy lesie, poszedłem do lasu, wykopałem dziurę, wróciłem, poczekałem, aż się ściemni, bo po co mi cyrk na osiedlu, położyłem ją na sanki, bo śnieg już spadł, a ona ciężka, i poszedłem. Chodzę z nią tam i z powrotem, bo nie zapamiętałem dobrze miejsca, a ciemno, szukam tej dziury, nie ma. Zostawiłem ją, bo trudno sanki ciągnąć między drzewami, i szukam dalej sam, chodzę i klnę na siebie, aż w końcu jest, znalazłem, kopalem ją dla niej, a sam mało do niej nie wpadłem, nareszcie, idę po nią, idę i idę, nie ma, nie mogę jej znaleźć! Co jest, co jest?! Asta?! Samo mi się z gardła wyrwało, jeszcze trochę, a zacząłbym gwizdać. Znalazłem ją w końcu, prawie na nią wchodząc, i pochowałem, myśląc, że jak człowiek ma dziurę, to nie ma psa, a jak ma psa, to nie ma dziury, nie? No i tak to.

Jestem, dzwonię, wchodzę, idę po schodach, butów pod drzwiami tyle, że nasuwa mi się myśl o Oświęcimiu. Przedstawiam się. On mówi, że źle się czuje, podle, a psa trzeba wyprowadzać dwa razy dziennie, nie daje już rady. Mówi, że kuleje, pies też, czasami trzeba go znosić ze schodów, albo wnosić, już mu za ciężko. A jeszcze tyle butów na klatce, że przejść nie można, Turcy tu mieszkają, dlatego. Mówi, żebym dał mu jeść, miskę mu podał, to się do mnie przyzwyczai.



Haf-haf, szczeka, to znaczy, on szczeka, i mówi, że tak szczeka pies po czesku. W wiosce Medlov Králová go kupił, piękna nazwa, prawda? On się w tej wiosce urodził, dlatego psa stamtąd przywiózł, żeby tu mu, haf-haf, po czesku szczekał, a nie robił jakieś tam wau-wau. To jego czeska kroplówka, ten pies.

Podaję psu miskę, pies je. Pies zjadł. On mówi, że mogę z nim wyjść, do parku, i że jak wrócę, to się rozliczymy.

Ja mówię, żartuję, że nie ma sprawy, że dogadamy się lepiej niż przy Zaolziu.

On się śmieje pierwszy, ja ostatni.

Schodzę z psem po schodach, każdy stopień dla niego to Wielka Pardubicka. Biorę go na ręce, ciężki, schodzimy, szlag by trafił te buty. Idziemy ulicą, trzymam smycz, pies za mną. Powoli. Nagle karetka, jak spod ziemi, musieli przed skrzyżowaniem włączyć sygnał. Przejechała, ciągnę smycz, nic, opór. Odwracam się, pies leży, nie rusza się. Wołam go, ciągnę, pies leży. Podchodzi kobieta w ciąży, pochyla się nad psem, dotyka jego szyi, mówi, że zdechł. Ciężko jej się podnieść, z tym brzuchem, pomagam jej wstać, mówi, że tego jeszcze brakowało, żeby jej teraz wody odeszły, pytam, czy zadzwonić po karetkę, mówi, że nie, że to jeszcze za wcześnie i żebym zajął się psem.

Mówię, że dam sobie radę, że jej brzuch ważniejszy. Biorę psa na ręce, ciężki jak telewizor, i odchodzę. Idę z nim na ławkę, siadam z nim na ławce, sie-

dzimy na ławce. Jego czeski łeb na moich polskich kolanach. Pukam go lekko po łbie. Głaszczę, że niby śpi, nie chcę robić sensacji. Myślę, co dalej. Taksówkarz mi go nie weźmie. Nieść go do domu na rękach? Ciężki, ale nie mam innego wyjścia. Wstaję, chcę go nieść jak dziecko, tak jak trzyma się dziecko, żeby mu się odbiło, z głową na ramieniu, ale on za duży, więc niosę go tak, że wisi mi przez ręce, niosę go tak, jak żołnierz albo strażak niesie dziecko, które ranne albo poparzone. Ludzie się obracają, komentują, pytają, co się stało, mówię, że był uśpiony do operacji i ciężko mu się obudzić, bo stary. Dzieci mnie pytają, jak się nazywa, nie wiem, zapomniałem zapytać, a Czech zapomniał mi powiedzieć, ta jego starość, więc wymyślam, mówię, że Pepik, dzieci idą za mną, krzyczą, Pepik, Pepik, obudź się, coraz więcej tych dzieci.

Tyle ich, że kroczę na czele małego pochodu, robi się korek, bo przystają zaciekawieni kierowcy, drudzy na nich trąbią... ale ma pogrzeb, czeski przesiedlenie ze wsi Medlov Králová.

Piękna nazwa... Medlov Králová.

Nie wiem, co robić, widzę zakład naprawy telewizorów, starczy tego pochodu, wchodzę. Kobieta na widok mój z psem i tłumem za oknem mdleje, wychodzi z zaplecza mężczyzna, widzi mnie, psa i Leżącą, zamiera, jest więc tak, że zakład naprawy telewizorów zamienia się w gabinet figur nieruchomych, w którym jedyny zwiedzający w mojej postaci kładzie psa na ziemi, zamyka drzwi i cuci Leżącą. Leżąca wstaje,

mówię, co się stało, nie słuchają mnie, Leżąca próbuje zwolnić ze „Stój, milcz!” Stojącego, szkoda mi czasu, rozglądam się, szukam dużego kartonu, widzę duży karton, wkładam do niego psa, włożony, patrzę przez okno, czy już pusto, pusto, wychodzę, ciężki ten karton, trzymam go na ramieniu, myślę, żeby zadzwonić po taksówkę, teraz przecież mogę, stawiam karton na ziemi, chcę dzwonić po taksówkę, nie mam numeru, zostawiam karton na ziemi, wracam do zakładu, Stojącemu już lepiej: siedzi, Leżąca nad nim: stoi, proszę o numer taksówki, dają mi, dzwonię, zamawiam taksówkę, wychodzę, kartonu nie ma.

Zniknął.

Patrzę w prawo, w lewo, nie ma.

Gdzie ten karton?!

Ktoś stoi na przystanku, wygląda jak kontroler, chyba kontroler, pytam o karton, przed chwilą go tu położyłem i nie ma. Ten telewizor? Cyganie wzięli, podjechali samochodem i wzięli, to pana był? No to ukradli, złodzieje, ja wszystko widzę, wszystko kradną.

I jak tu przełknąć taki fakt? Kradzieży telewizora w postaci psa? Ziemia kręci się dzisiaj moim kosztem. Jak dzwon bije mi serce. I biją mi dzwony w uszach, nic nie słyszę. Pytam Kontrolera, czy słyszy dzwony, ale on mnie nie słyszy, krzyczy, żebym mówił głośniej, bo dzwony biją, z kościoła obok. A między jednym uderzeniem dzwonu a drugim, jakby było mało, coś trąbi, obracam się, taksówka, taksówkarz pyta, czy to ja, przez komóreczkę, zamawiałem tak-

sóweczkę, mówię, że ja, i do głowy wpada mi myśl, której wypaść nie daję, bo co? Mam wrócić i co? Powiedzieć Staremu Czechowi? Że pies zdechł? Jaką mu twarz zainscenizować, kiedy powie, dobrze, ale gdzie on? Co powiedzieć, że popełnił samobójstwo, po czym oddał się, czy że ukradli mi go, żeby oglądać telewizję?

Dlatego pytam Kontrolera, w którą stronę pojechali, z tym kartonem, Kontroler pokazuje w którą, pytam, jakim autem, Kontroler mówi jakim, dziwnym, podobnym do pogrzebowego, wsiałam do taksówki, mówię, co się stało, mówię, że musimy przedsięwziąć coś w rodzaju pościgu, Taksówkarz pyta, tak mimochodem, za jakim samochodem, mówię za jakim, jedziemy.

Tak szybko, że Chrystus ledwo utrzymać się może na krzyżu.

Taksówkarz przejęty pościgiem, ja jeszcze bardziej, a do tego, nagle, jakieś idiotyczne dźwięki w radiu, w radiu? Nie, to mój telefon, nie odbieram, to Stary Czech, na pewno on, skrzyżowanie, w którą stronę teraz? Rezygnuję, to nie ma sensu, chcę wysiadać, Taksówkarz mówi, żebym się nie poddawał i nie wysiadał, i że jakby w głowie sobie połyzczyć, to myśl tu można zastosować, że nie ma mianowicie takiej koszuli na świecie, której nie można rozprasować. Taksówkarz mówi, że tak mówi jego żona, bo uczona, i że on zna takie miejsce, w którym ich, Cyganów, najwięcej. W którym siedzą oni dniami, i siedzą

nocami, siedzą jak w skansenie, w całym tym Bergen-Belsenie, przecucie go jeszcze nie zawiodło, nigdy, snajper myli się raz, a taksówkarz przenigdy.

Dziwię się, Bergen-Belsen to obóz koncentracyjny, no właśnie, mówi Taksówkarz, no właśnie, drogi panie, tam się właśnie rozbili Cyganie. Waham się, trochę daleko od Hamburga, mam się nie martwić, on wyłączy licznik, będzie inny przelicznik, jedziemy?

Jedziemy. Szybko jedziemy. Prawie tak jak historia kołem się toczy.

Jesteśmy. Taksówkarz staje pod bramą, pod bramą auta, wśród aut podobne do pogrzebowego. Taksówkarz poczeka, ma wymówkę, boi się o taksówkę, wchodzę do obozu sam. Stoję w bramie. W obozie płonie ognisko, rozsiane tu i tam matki karmią przysane do nich tu i tam niemowlęta, dzieci bawią się w chowanego, mężczyźni grają w karty. Stoję w bramie, patrzą na mnie.

Zachód, słońce mam z tyłu, za plecami, z przodu długi cień.

Matki przestają karmić, dzieci wychodzą z kryjówek, mężczyźni przestają grać. Szukam oczami kartonu, nie widzę. Podnosi się jeden z mężczyzn, chyba ważny, idzie w moim kierunku. Myślę, co mu powiedzieć, może, że jak mi nie oddadzą mojego kartonu z psem, to odejdę, ale wrócę nocą i wszystkich ich tu podpalę?

Otwieram usta, ale Ważny jest szybszy, niemczyzną połamaną w kilku miejscach mówi, witam pana w na-

szych tragicznych progach, jest pan pierwszym Niemcem, który nas podwiedza. Jest pan człowiekiem, który spieszy się na ratunek honoru narodu niemieckiego. Czy weźmie pan, w tym związku, udział w zaproszeniu na kolację wspólną z nami?

Mówię, chwileczkę, zaraz wrócę, idę do Taksówkarza, mówię, żeby wracał, ja zostaję, tłumaczę mu dlaczego, mówię, że są rzeczy, których odmówić nie można.

Taksówkarz mówi, żebym stąd uciekał, że tu coś się kroi, widział dużo policji, i się trochę boi.

Nie mogę, mówię, nie mogę, mieszkam w tym kraju od dwudziestu lat i wypada, żebym coś dla niego zrobił, a nie mścił się tylko za drugą wojnę światową, chociaż to jedno z moich hobby.

Taksówkarz rozumie, mówi, żebym został z Bogiem, odpowiadam, że nie, żeby lepiej on z nim został, bo w jego zawodzie kierowcy Bóg ważniejszy, taksówkarz dziękuje za oddanie mu Boga, wsiada i odjeżdża, ja wracam.

Czekają już na mnie przy Wielkim Ognisku, dostaję honorowe miejsce i kwiaty, mężczyźni zaczynają grać, kobiety zaczynają tańczyć, dzieci siadają u moich stóp. Roznoszą jedzenie z różna, dostaję talerz z dymiącym mięsem, głodny jestem, pół kurczaka przez cały dzień to mało, jeść zaczynam, rękami, tak lubię.

Siedzę i jem z tymi, którzy zamieszkali na ziemi swoich dosłownie wygasłych przodków.

Przełykam pierwszy kęs, dziwny smak, pytam, co to za mięso, Ważny mówi, nieważne, ważne, że smakuje, patrzę na rożen, patrzę na mięso i w jednej sekundzie gasnę, wysiada mi kineskop.

Połykam ci ja kroplówkę Starego Czecha?

Słabo mi, zemdlałbym, gdyby nie jakieś idiotyczne dźwięki, telefon mi dzwoni. Nie mogę odebrać, ręce mam tłuste, jem przecież rękami, tak lubię, przez obóz przechodzą dwie Polki, jedna mówi, widzisz, Cygan, mogłam się założyć.